

33

2242

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

PROMETEUSZE



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

PRINTED IN ITALY

BRATU MEMU

TADEUSZOWI SZPOTAŃSKIEMU

POŚWIĘCAM

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Ludwik Blanc wstał.

Olbrzymia, hucząca gwarem sala scichła. Każdy czuł, że patrzy w żywe oczy rewolucji, tej, która we wszechynającym się ruchu mogła obrócić się przeciw wszystkim, z którymi dziś w początku się sprzymierzała, przeciw całemu społecznemu ustrojowi. Zebrani republikanie spoglądali niespokojnie na groźnego alianta. Od końca długich stołów podnoszono się i stawano za krzesłami tych, co naprzeciw niego siedzieli. Chwilę milczał, oczekując ogólnego skupienia, błyszczącymi oczami powiódł po sali. I nagle rozległ się głos jego dźwięczny i donośny:

— Władza, która wydawała się niedawno tak potężna, znajduje się w rozkładzie. Jakby jakaś siła niewidzialna leciała górą i siała w jej mózg głupstwo i występki. Nieoczekiwane czyny zwyrodnienia, przejawy idiotyzmu, niewyjaśnione zbrodnie budzą w społeczeństwie zgrozę i trwogę. Niepodobna, aby tak trwało dłużej! Trwać nie będzie! Gdy owoce gniją, lada wiatr strąci je z drzewa!

Krzesławski przedarł się przez ciżbę i stał tuż opodal. Mowa nie miała siły argumentacji, nie rozpięła się na ruszłowaniu żelaznej logiki, ale trzęsła jak wichry zebranymi, waliła jak piorunami w monarchię. Wszyscy powoli poddawali się jej sugestii.